Nr 19. Kraków 11 maja 1867. Rok II.

Prenumerata miejscowa: *rocznie* 6 złr., *półrocznie* 3 złr., — *ćwierćrocznie* 1 złr. 50 c. w. a.
Z przesyłką pocztową: *rocz.* 7 złr. 20 c. *półrocz.* 3 złr. 60 c., *ćwierćrocz.* 1 złr. 80 c.
Prenumerata zagraniczna: bez mód i bez nut rocznie 8 złr. 30 c. w. a.
Mody i kroje *rocznie* 3 złr. 30 c., *półrocznie* 1 złr. 70 c., *ćwierćrocz.* 90 c. w. a.
Nuty *rocznie* 1 złr. 25 c., *półrocz.* 65 c., *ćwierćrocznie* 35 c. w. a.

KALINA

Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.

W Krakowie prenumerować można w biórze redakcyi: ul. *Mikołajska* 458, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni *J. Czecha*
We Lwowie można prenumerować i odbierać w ajencyi *T. Kochańskiego*.
W Poznaniu w księgarni Mieczysława *Leitgebera* Hotel du Nord.
Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

BIBLIOTEKA dla kobiet jako DODATEK do „Kaliny", albo *osobno* kosztuje rocznie 6 złr. w. a. — półrocznie 3 złr, — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. — miesięcznie 50 c. — Osobno prenumerować można za pośrednictwem wszystkich księgarń.

☛ Przy dzisiejszym Nrze załącza się dla Prenumerujących trzeci arkusz **Biblioteki dla kobiet.**

Równouprawnienie. *)

Wolny i doskonały człowiek, to cel dziejów ludzkości. Dzieje Wschodu nie sterowały ku téj gwiaździe, dla tego nie wyrobiły one samopoznania siebie — i dziś Azyja jest tylko kolebką a nie matką człowieka — w Azyi się człowiek urodził, ale nie wychował. To też pod gruzami zasady czyli raczéj bezzasady zbiorowości leży do dziś dnia nieocucona myśl dziejowa w narodach Wschodu, którą dopiero wdzięczni synowie Europy światłem ducha, zdobytém walką ogromną, budzić usiłują. Szkoda tylko, że słowo nie wystarcza na obudzenie jéj — bolesno że żelaza do téj sprawy potrzeba. Usługi swéj wdzięczności drogo sobie synowie zaplacić każą!

Ruch postępu dziejowego ku spełnieniu tego zadania, począł się w starożytnéj Helladzie, któréj młodociana postać blyszczy posągiem chwały u zorzy dziejów — osłonięta płaszczem nauk i sztuki, dumna wolnością obywatela-człowieka, czytająca na tle jasnego nieba tajemnice ideałów. Myśl ta przybrała w Rzymie kształty praktyczności, — do czego Hellada słowem, do tego Rzym czynem zdążał. Zdążał mówię — bo celu nie dopiął, ani do połowy nie doprowadził ten wielki świato-władczy Rzym.

Świat klasyczny nie posiadał u siebie dostatecznéj siły, by zadanie dziejowe przeprowadzić — cegiełkę przyłożył do tego dzieła dziejowego — i to dosyć z jego strony.

Gdy omdlewał w téj pracy i wpadał w stan zwątpienia i negacyi, przyszła mu w pomoc myśl Chrystusowa. Ta gwiazda jasnego światła błysła na widnokręgu dziejowym, świeci wiekom i świecić będzie do końca wieków pracującéj nad rozwiązaniem swego zadania ludzkości.

Powolną i nieprostą drogą idzie świat ku wolności — ale faktem jest że idzie.

Równouprawnienie — to drugi głos, co się wydziera z piersi wolnéj Europy i Ameryki, które dziś grają główne role dziejowego dramatu. — Młodzi i starzy, kobiety i mężczyzni, prawowierni i heretycy, chłopi i panowie, tj. inteligencja i nieinteligencja wołają o równouprawnienie.

Tyfus *równouprawnienia wyznań* odbyła już chrześcijańska Europa. Turcyja dziś zapada na tę chorobę, i kto wie czy życiem nie przypłaci, jeżeli gabinety nie wyszlą jéj na poradę zdolnych lekarzy z hufcami felczerów, cyrulików, chirurgów, z całemi aptekami olowianych pigułek i siarczanych maści.

„*Równouprawnienie narodowości*, jak równouprawnienie pojedynczéj osoby człowieka, prawem przyrodzoném wyrył Stwórca w sercu ludzkiem". Myśl równouprawnienia narodów galwanicznym prądem przebiega Europę. Jednem słowem: równouprawnienie narodowości tak wypełnia treść ruchu politycznego — jak równouprawnienie kobiety treść ruchu społecznego.

Równouprawnienie kobiety jest drugą stroną równouprawnienia społecznego człowieka.

Dziś niby każdy człowiek wolny wobec prawa — to prawda — ale tylko w teoryi. Póki narody nie mają narodowego, gminy gminnego, rodziny rodzinnego prawa — dotąd osobistość, jednostka nie ma praw swoich, a jeźli ma, to tylko ich cień, postać, barwę — bez istoty i znaczenia. Musi się téż wprzód dokonać równouprawnienie religijne, narodowe, a równouprawnienie społeczne z łatwością będzie dokonaném.

Otóż Ameryka prześcignęła w tym względzie Europę. Podczas gdy w Europie proces równouprawnienia wyznań i narodowości się nie skończył, w Ameryce równouprawnienie stanów i płci już się dokonywa. — W Ameryce tworzą się państwa na podstawie sojuszu:

*) Umieszczamy niniejszy artykuł jakkolwiek nie na wszystkie poglądy w nim umieszczone moglibyśmy się zgodzić, (jak tu i owdzie rzucone dopiski redakcyi świadczyć będą). Umieszczamy go jednak, raz dla trafnych uwag jakie zawiera, a powtóre dla tego, że niechcąc Czytelniczkom gwałtem narzucać naszego zdania, podajemy i inne do tego się odnoszące niby przeciwstawienie, zostawując sąd i wybór czytającym. (Przyp. Red.)

interes zwie Europa ich Bogiem. Prawda! To też ten interes ma za dogmata swéj wiary: zysk i wygodę. Tam wprawdzie o miłości bliźniego tyle nie mówią, ale rzeczywiście więcéj się kochają: bo szanują przekonanie osobiste i cechy narodowe. Wyznanie z wyznaniem, naród z narodem się kojarzy i wyrabia się nowa jedna narodowość: Amerykanie. Zasada Monroego przyjmuje się, z każdym dniem silniéj korzenie zapuszcza: Ameryka dla Amerykanów!

Ameryka zaszła tedy tam, dokąd Europie jeszcze daleko.

O równouprawnieniu rodzaju żeńskiego — téj ważnéj części równouprawnienia społecznego spore możnaby napisać tomy, gdyby kto zamyślał kwestją tę tak, jak ona zasługuje w jéj zasadzie i zastosowaniu opracować. Zakres pisma nie pozwala mi być tak obszernym; jakoż zamyślam tu tylko rzucić kilka myśli, jakie mi się nasunęły z okazyi artykułu, jaki wyczytałem w „Pressie wiedeńskiéj", oceniającéj pobieżnie kwestją o prawie kobiety do zarobku — zawartą w dziele pani L. Otto p. t. „Pogląd na życie teraźniejsze kobiet".... Równouprawnienie kobiet jest kwestją dni naszych, równie jak kwestja oświaty.

Głos téj kwestyi doleciał z Nowego-Świata falami Atlantyku lądu do Europy.

W Ameryce dokonywa się już równouprawnienie społeczne. Kobieta wchodzi w posiadanie tychże samych praw co i mężczyzna. Urzęda rachunkowe, biura telegraficzne bywają im powierzane. — Ameryka zdrowa, loiczna i konsekwentna. Stosownie ku temu celowi trzeba kobietę kształcić. To też założono w miasteczku Pouhkepsie blizko N.-Yorku temi laty akademią dla kobiet, w któréj nawet będą mogły dostępywać dyplomów doktorskich z gałęzi nauk, które sobie jako fach obiorą *). Zaiste ogromny postęp — tylko nie można naprzód na pewne oznaczyć czy ku dobremu czy ku złemu?!

Są bowiem kwestje, na które się zarówno można zgodzić i sprzeciwić. Do takich należy bezwątpienia kwestja równouprawnienia kobiety. — Dwojakiém więc będzie nasze zapatrywanie wedle tego czy się nad zasadą czy nad zastosowaniem zasady równouprawnienia kobiet zastanowimy. Rozbierzmy wpród zasadę téj kwestyi.

(Ciąg dal. n.)

*) Podaliśmy o tém obszerną wiadomość poprzednio. (Przyp. red.)

Pielgrzymka do Kewlar.

(Z HAJNEGO.)

I.

Przy okienku matka stała —
A syn w łóżku chory, blady;
„Czy nie wstaniesz"? z procesyją
Idą księża i gromady".

„Jam tak chory matko moja!
Odrzekł blady syn powoli,
Myślę tylko o umarłéj —
Chore serce tak mnie boli"!

„Wstań! do Kewlar pójdziem razem,
I różaniec zabierz z sobą —
Matka-Boska serce zgoi,
I zlituje się nad tobą.

Kolonią ponad Renem
Płyną z śpiewem fale ludu —
I chorągwie wieją górą
Ku wsławionym miejscom cudu.

Poza ludem matka idzie —
Wspiera syna zasmucona,
I śpiewają z ludem razem:
Maryjo bądź pochwalona!

II.

Na Kewlarze Matka-Boża
W najpiękniejszéj dziś sukience —
Z prośbą, modłem, ludzie chorzy
Wyciągają ku niéj ręce.

Chorzy ludzie — ludzie biedni
Proszą ulgi w bólach, w męce,
I w ofierze niosą Pannie
Nogi z wosku — z wosku ręce.

Matka wzięła wosku trochę,
Ulepiła serce z niego —
„Ponieś synu Matce-Boskiéj,
A uleczy z bólu twego".

Syn wziął serce — westchnął smutnie
I przed obraz je przynosi,
I z wielkiemi w oczach łzami
Tak Maryi Panny prosi:

Przesławiona Matko boża!
Łask wszelakich źródło boże,

O Królowo nieba, ziemi!
Tobie boleść mą przedłożę.

W Kolonii sławném mieście,
Gdzie kościoły wielkie stoją —
W Kolonii sławném mieście,
Tam ja mieszkał z matką moją.

Obok nas mieszkało dziewczę —
Dziś w cmentarnéj spi ustroni —
Dar mój przyjmij o Maryjo!
Uzdrów serce, co w łzach po niéj.

Uzdrów, a ja duszą całą,
Co wdzięcznością przepełniona,
Będę śpiewał wieczór, rano,
Bądź Maryjo pochwalona!

III.

W izbie chory syn i matka
Zalegają we śnie łoża —
Jasnym blaskiem otoczona
Schodzi ku nim Matka-Boża.

I nad chorym pochylona
Ręką serca się dotyka —
Na młodzieńca patrzy lubo,
Uśmiechnęła się — i znika.

W śnie widziała wszystko matka,
Ale więcéj widzi jeszcze;
Niespokojna ze snu wstaje,
Psy tak wyją — wiatr szeleszcze. —

A na łożu rozciągniony
Syn jedynak jéj nie żyje,
I na blade wargi jego
Ranna zorza światłem bije.

Matka ręce załamała
I nad synem pochylona,
Smutnym głosem cicho śpiewa:
Maryjo bądź pochwalona.

Hermanowe grzechy i kłopoty.

Bałucki

I.

MIESZKO.

Już od brzasków porannych pobielało czoło Wawelskiego zamku — u spodu i w załomach jeszcze plączą się nocnych cieniów ostatki, niknąc i opadając na dół powoli; aż nagle cały zamek wyszedł z téj powodzi cieniów i okna jego uzłociło wschodzące słońce. W królewskiéj komnacie lampa wisząca nad kołyską królewicza pobladła — nad rozgorączkowaną twarzyczką Bolesława widać zmęczoną twarz króla. Król Herman usnął przed chwilą dopiero. Całą noc stróżował jedynaka chorego, drząc o jego życie — ale umęczenie było silniejsze, niż troska Hermanowa i król pochylił głowę na poręcz krzesła i usnął. W głębi komnaty dwaj dworzanie u drzwi stoją i cichą prowadzą rozmowę.

— Patrz, mówił jeden — jak postarzał się nasz król przez te kilka nocy bezsennych — broda mu posiwiała — twarz pożółkła jak pergamin, na którym troski napisały nowe zmarszczki.

— Dziwna to przecie — rzekł drugi, że król poodpędzał czarnych mnichów lekarzy i sam pilnuje królewicza.

— Toć i ty, gdybyś miał skarb duży, nie radbyś go dawał na schowanie innemu, jeno sambyś jak brytan leżał na nim a warczał, gdyby się kto nań pokusił. A królewicz to wielki skarb królewski, jakiego nie najdzie łatwo, bo to jedynak i jeszcze z takim trudem wymodlony u Boga. Ty jeszcze nie był za nieboszczki pani na naszym dworze — to nie wiesz, jak król i królowa i nasi księża i zagraniczne mnichy modlili się długo o niego. Bo królom bezpotomnie umierać źle i wstydno.

— A toż miał Zbigniewa?

— Cicho! bo dość cichego szeptu tego imienia, byś obudził króla, a wtedy źleby z tobą było bracie.

— Jakto? toć i to syn jego?

— Poprawdzie to syn, ale katolickie mnichy mówią, że nie, bo jego matka była poganką z Pomorza i chrześcijańskich ślubów uczynić nie chciała, choć król naglił i prosił. Pamiętam ją na naszym dworze w Mazowszu. Śliczna to była pani; biała, smukła, a czarne miała włosy i oczy zawsze czegoś takie smutne, że przy niéj mógłeś do krzty zapomnieć o śmiechu. Król miłował ją bardzo, a ona króla może więcéj jeszcze, ale mnichy krzywo na to patrzyli i kiedy po zniknięciu brata pan nasz zasiadł na krakowskim zamku, księża do tyla namawiali króla, że posłał do Czech po żonę, a dawną lubienicę swoją z synem gdzieś w Sasy wysłał. Byłbym głowę w zakład stawił, że król tego nie zrobi, bo matkę i syna kochał bardzo i obydź się bez nich nie mógł łatwo. Ale snać, mnichy swoje czary na niego rzucili.

— I nic o niéj nie słychać, ni o synu?

— Syn teraz pono w jakimś klasztorze na Szlązku i Magnus Wrocławski czynne nad nim ma oko; ale matka już podobno umarła. Bo gdy po śmierci pierwszéj żony król stęsknił się za nią i wysłał po nią dworzany, już jéj nie znaleźli.

— A szkoda, bo możeby król z Niemiec nie był

przywoził żony i niemiecką zgrają nie zapełniałby tych komnat.

— Zmilknij bracie, próżna mowa — głupia mowa, a i szelest słychać od pokojów królowéj.

Zcichnęli dworzanie — drzwi zaskrzypnęły — uchyliła się zielona kotara i Judyta, żona Hermanowa weszła do świetlicy. Nie młoda już, ale piękna jeszcze — wązkie usta dumnie zakrojone — nos orli, trochę namiętnie w nozdrzach rozwarty, a oczy duże, niebieskie — od czarnego aksamitnego czepca ładnie odbjało wyniosłe czoło. Suknię miała na sobie czarną, wlekącą się. Gdy weszła do komnaty, skinieniem białéj ręki oddaliła dworzanów w przedsień — postąpiła bliżéj ku kołysce i na śpiącego króla patrzała długo, pogardliwie i szyderczo. Król przez sen poczuł potęgę tego wzroku, co się w nim jak sztylet zanurzał, bo drgnął cały i zbudził się.

— Dziecko moje — były pierwsze jego słowa i jeszcze na pół senny zarzucił ramiona na kołyskę Bolesława, jakby go chciał bronić przed napaścią.

Powoli przyszedł do siebie, podniósł głowę i spotkał się z oczami żony.

— Witajcie Judyto! wyście przyszli urągać ojcu, co ze zbytku miłości stał się niańką dla dziecka, które matki nie ma.

— Przyszłam szukać króla, ale go tu nie widzę. Sala radna już trzeci dzień nie widziała królewskiéj twarzy — przyjdzie widać do tego, że na zapylonym tronie Mieszko usiądzie.

— Na Boga, milcz niewiasto! przynajmniéj w téj chwili nie mów mi tego, że nie Bolesław siądzie po mnie na tronie. Niechętnie wziąłem berło do ręki, bom wiedział, że prawy jego dzierżyciel żyje, że mój brat, a po nim Mieszko syn mają prawo do tego i stałem długo na tronie, jako chwilowy ich zastępca; ale teraz, kiedy mi Pan-Bóg dał syna, teraz od tronu wara — teraz tronu nie oddam, choćby mi przyszło bić się z Mieszkiem i z sumieniem. Ale pierwéj mnie dbać o życie tego dziecka, któremu tron gotuję.

— Więc westchnieniami i męką bezsennych oczów chcecie mu wrócić zdrowie? zaiste dziwne leki. A precz odegnaliście biegłych mnichów, których wam posłałam?

— Czemu? wiesz Judyto, ja się twoich niemieckich mnichów boję czegoś — oni tak ponuro patrzą, że myślę, że oni prędzéj zaszkodzić, niż dopomódz mogą. Do tego jeszcze od kilku dni jakieś niespokojne sny mnie męczą i kiedy oczy ze znużenia zamykają się przed widokiem trosk dziennych, to u podwoi snu stoją jakieś marzenia, straszydła, które mi kłócą chwilowy spoczynek. Dziś nad ranem śniło mi się, że od Zachodu szło na moje dziecko wężów dużo, z otwartemi czerwonemi pyskami, w których syczały ruchliwe żądła. Pełzły te gady do tronu, gdziem ja siedział, dzierżąc Bolesława na ręku i gdym chciał dobyć miecza na obronę a i dziecko drobne rączki wyciągało wyzywając na bój gadziny — spojrzę, aż tu z tyłu z pod stopni tronu wypełznął inny i straszniejszy gad i znienacka opierścienił mnie i małemu szyję i dławić nas począł, a ślipiami pełnemi jadu i urągowiska patrzał mi w oczy. Wtedym się obudził i spotkałem się z twojemi oczami, które ze mnie drwiły i zląkłem się bardzo.

Przy ostatnich słowach króla Judyta zmarszczyła gniewnie białe czoło, czarne brwi nagięły się ku sobie, niby szeptając sobie tajemnicę rozgniewanych myśli królowéj — odeszła nieco od męża i siadła w krześle milcząc.

— Wam przykro się zrobiło Judyto od słów moich? a mnie znów bolą uczynki wasze, mnie trapi, że to dziecko nie znalazło w tobie drugiéj matki, że ja nie znalazłem żony, tylko królowę. Inną była pierwsza moja; świętych cnót i miłości naniosła ona tyle w ten zamek, że mi się rajem wydawał. Ty potrząsasz głową, jakbyś nie wierzyła moim słowom; — to spojrzyj na te świątynie miasta, które jéj ręką stawiane modlą się teraz za nią — to spytaj krakowskiego ludu, wiele dni za nią płakał, wiele miesięcy nosił po niéj żałobę....

— Długo jeszcze narzekać będziecie? W skargach i wspomnieniach legliście jak w puchu, a tu wstać trzeba. Może i ja miałabym się na co poskarżyć — na hardość waszego ludu, na was królu, ale skargi nie przystoją królewskim ustom, zwłaszcza, gdy trzeba o czém inném myśleć. Tu o nas wszystkich idzie — lada chwila jeden człowiek może nas zepchnąć z tronu.

— Jak to?

— Wy nic nie widzicie daléj po za kołyskę waszego dziecka — nie widzicie, jak cały lud krzywo patrzy na wasze rządy, Bolesława z utęsknieniem wspomina, a kiedy się go doczekać nie mogą, to syna na rękach noszą. Tylko od woli Mieszka zależy, by go królem obwołali, a to chłopie dumne i harde i snadnie się o taką zdobycz łatwą pokusi.

— Jakto wtedy, gdy ja król żyję jeszcze?

— Cień króla, z którym siostra, żona i córka cesarzów i królów na to złączyła swe losy, by w jakim zameczku przepłakać nędzne życie. O lepiéj mi było do śmierci siedzieć w Ratysbonie!

Król upuścił zmęczoną głowę w dłonie i biadał:

— Oj za dużo trosk na moją biedną głowę.

Królowa odwróciła się ku niemu i rzekła:

— Płaczko! kiedy radzić trzeba, wy znowu narzekacie.

— Cóż więc robić? radź Judyto!

— Dziś w nocy goniec oznajmił, że Mieszko wraca ze zwycięzkiéj wyprawy na Ruś i już podchodzi pod Kraków. Słyszę, że mnogo ludu wyszło z miasta, by go witać. Jestto więc stanowcza chwila: albo go ująć dla nas trzeba, albo....

— Cóż?

— Albo zgładzić.

— Co? syna mojego brata mordować jak rozbójnik? Kobieto, ty musisz nie mieć serca i w piekło nie wierzyć.

— Wszak to syn przeklętego.

— Ale brata.

— Kościelna klątwa rozdzieliła was.

— Ale Bóg złączył pierwéj jeszcze.

— Bluźnicie królu....

— Może i bluźnię przeciw kościołowi, ale nie przeciw sumieniu.

W téj chwili o zamkowe okna uderzył ogromny krzyk ludu, krzyk radosny, potężny, który echem rozbijał się na krzyków tysiące.

— Co to jest? — rzekł król — czy się lud burzy?

— Lud wita Mieczysława wjeżdżającego w bramy Krakowa. Chodźcie królu i spojrzyjcie przez okno. Ten widok może wam skrzepłą krew żywiéj przepędzi przez żyły i rozrusza do czynu.

Król wstał i poszedł z Judytą ku oknu. Przed zamkiem ujrzeli czarne fale ludu, kołyszącego się w tę i ową stronę — gwarnego. Ponad ludem wyrastały rycerskie znaki i zbroje błyszcząc w promieniach wschodzącego słońca. Przodem na białym rumaku jechał zwolna Mieczysław, syn Bolesława, a fale ludu ze czcią rozstępowały się przed nim i głośnym witały krzykiem. Matki na rękach podnosiły dziatki swe, by widziały młodego zwycięzcę, a starcy płakali z radości patrząc na syna Śmiałego. Król nie mógł długo patrzeć na ten triumf młodego Mieszka, czuł się upokorzonym, poniżonym, a królowa szydziła.

— To twój lud i kto po nim pozna, że ty mu królujesz? Lud ten klęka przed dzieciuchem, a o tobie zapomniał.

— Judyto! radź o zgubie Mieczysława — rzekł król, upadł w krzesło i twarz pełną wstydu ukrył w dłonie.

— W téj chwili nowy donośniejszy okrzyk obudził śpiące w kołysce dziecię — zapłakało.

— Widzicie królu i dziecko w kołysce zabolał tryumf jego współzawodnika.

Król niecierpliwy, rozdrażniony, uderzył w dłonie na służbę.

— Co chcecie robić królu?

— Chcę posłać do ludu, by zamilkł.

Judyta rozśmiała mu się w oczy.

— Chcesz smagać morze, aby się nie burzyło, gdy ono pochłonąć cię może; innéj trzeba rady — i odwracając się do wchodzącego sługi rzekła: idź powiedz księdzu Ottonowi, że król i królowa czekają na niego.

Kiedy z jednéj strony zamku król i królowa zawistnie patrzą na zwycięzki wjazd Mieczysława i myślą o jego zgubie — z innego okna patrzała na niego matka jego Wisława okiem pełném szczęścia i miłości i serce matki rosło i dumniało chwałą syna. A gdy Mieczysław wjechał na zamek, Wisława drżąca nasłuchiwała rychło z królewskich komnat przyjdzie ją witać.

— Wisławo! a co tam tak patrzysz na miasto — musi się coś dziać pod zamkiem? — rzekła stara Dobrogniewa matka Bolesława i Władysława Hermana. Mocno już głucha była staruszka, gdy nie słyszała okrzyków ludu, ją tylko dziwiło drzenie Wisławy i jéj twarz opromieniona. Dobrogniewa kochała Wisławę i gdy ją odstręczała od dworu zimna twarz Judyty i obojętność Hermana, cofnęła się w ustronny zakątek zamku, przytuliła się do Wisławy i obie Rusinki razem żyły, razem się modliły, razem odchylały trumnę starych a miłych pamiątek, razem patrzały na Mieczysława, co świecił przed niemi jak gwiazda nadziei. To też gdy Wisława powiedziała jéj, że Mieszko wrócił — starucha nie posiadała się z radości, a że najwyższym wyrazem jéj radości była modlitwa, więc pacierze szeptać poczęła i koronkę nizać.

Nie długo przyszedł i Mieczysław. W jasnych oczach miał dumę bohatera, szczęście syna wracającego do matki i czoło harde, co się tylko miłością nagnie ku ziemi — ale wśród tego wszystkiego plątała się po twarzy jego i po oczach jakaś posępna myśl, jakieś zamyślenie, które matka wnet uchwyciła oczami i gdy się skończyły wzajemne powitania, Wisława głaszcząc syna po jasnych włosach, pytała:

— Co tobie Mieszku? — widzę coś w oczach twoich, co mgłę smutku rzuca na szczęście twoje.

— Przywitanie stryja zabolało mnie trochę. Jam taki wesół tu wracał, że będę mógł mu powiedzieć: nie prędko stryju kniaź Wasyl pokusi się najeżdżać twe ziemie — cieszyłem się weselem jego oblicza, gdy zwycięzką wieść usłyszy — a zastałem przyjęcie chłodne — twarze niechętne i wzrok stryja w ziemię utkwiony niechcący patrzeć na mnie.

— Ze wstydu spuścił oczy.

— Cóż tam tak szczebioczecie ze sobą — rzekła uśmiechając się Dobrogniewa — podzielcież się i ze starą szczęściem. Chodź tu moje wnuczę, niech się nacieszę tobą.

I wziąwszy głowę Mieszka w drżących suchych rąk uściski, cieszyła się nim i ze wszech stron oglądała.

— Oj dziecko — mówiła — trudno dać wiarę, że takie młode już miecz umie utrzymać w dłoni, już umie rozkazywać mężom i zwyciężać ruskie kniazie. Cóż — widziałeś Ruś? spodobała ci się ta kolebka matki twojéj i moja? — a może już jaka Ruska wpadła ci w serduszko, bo Rusinek oczy umią łowić serca. Coś pokraśniałeś orliku?

Mieczysław rzeczywiście poczerwieniał mocno na twarzy, odwrócił się ku oknu przed pytającemi oczami

matki i babki, jakby chciał się przed niemi zasłonić; ale pewnie uwikłany siecią pytań i domysłów, byłby powiedział tę tajemnicę, co mu krew napędziła do twarzy, gdy wtém wszedł do komnaty ksiądz Otto.

Z przybyciem jego radosne twarze niewiast i Mieczysława przybrały wyraz obojętny, zimny i nawet pogardliwy. Wyraźnie tak się stało — jak gdy nad piękny ogród uśmiechający się kwiatami nadciągnie chmura i od jéj zimna kwiaty zamykają kielichy chowając się w trawę. Twarz ks. Ottona miała rzeczywiście coś odpychającego. Twarz ta miała coś jastrzębiego w sobie. Policzki obwisłe, nos nad ustami mocno zachylony, oczy małe, świecące, bystre, na które spuszczał często powieki, by tym pokornym gestem zakryć swoje myśli; — wszystko to robiło go odstraszającym. Rodem Niemiec, przybył do Polski z Bambergii, kreśląc w mądréj głowie różne plany, różne nadzieje o infułach i dostojeństwach. Jako ksiądz i nauczyciel dostał się niezadługo na dwór Władysława Hermana i ciągle niemieckiemi praktykami usidlał serce królewskie, a kiedy po śmierci pierwszéj żony Czeszki król trochę utulił się w żalu, Otto powoli, powoli począł mu rozpowiadać o wdziękach wdowy po Salomonie, aż królowi poczęło być tęskno we wdowim stanie i wysłał posły do Ratysbony a z nimi Ottona. Długo posłowie bawili u Judyty — córka cesarza niechętna była nowym ślubom z Hermanem, bo i słaby był i tron jego był niepewny; ale snać silniejsze były namowy Ottona, niż duma Judyty, bo po długich tajemnych naradach królowa wyjechała do Polski. Odtąd ksiądz Otto był nieodstępnym jéj towarzyszem, kapelanem i spowiednikiem — w każdéj ważniejszéj chwili stał z cichym, doradczym szeptem obok niéj i był jéj wysłannikiem wszędzie, a że praktyki królowéj rzadko szczęście przynosiły, to téż go we dworze nazywano złą nowiną albo czarnym mnichem. Zdziwiły się i zatrwożyły nie mało Dobrogniewa i Wisława, coby znaczyło to nawiedzenie czarnego mnicha, bo jako greckiéj wiary wyznanki nie stały pod jego pasterską pieczą.

(Ciąg d. n.)

Z PRZYRODY.

O gwiazdach spadających i kometach

podług odczytu
Profesora ***Karlińskiego.***

Nieda się zaprzeczyć, że gwiazdy spadające budzą w umyśle każdego człowieka zajęcie i zdziwienie. Dziecko czy starzec — prostaczek czy uczony — każdy, widząc spadającą — czy to pojedynczą gwiazdę, czy rój ich cały — dostrzegłszy przelatującą kulę ognistą — słysząc o kamieniach z nieba spadłych — pyta się mimowolnie już-to sam siebie, już towarzyszów, coby to było, zkąd się to wzięło? — a nie otrzymawszy znikąd dostatecznéj odpowiedzi — udaje się po takową do książek traktujących o ciałach niebieskich — o astronomii.

Atoli i tam nie wiele znajdzie. Książki astronomiczne popularne, albo wcale o gwiazdach tych milczą, albo podają tylko historyczne wiadomości o spostrzeżeniach i o mniemaniach ludzkich, które, jak dotąd — zmieniały się co lat kilka.

I inaczéj téż być nie mogło. Zjawiska bowiem nieprzewidziane, nagle przemijające, nie mogły być aż do lat ostatnich przedmiotem spostrzeżeń, któreby bieg i naturę tych ciał, zgodnie z niewzruszalnemi zasadami mechaniki niebieskiéj wyjaśnić dozwoliły.

Faktów luźnych od najdawniejszych czasów zebranych, jest ilość wielka — domysłów bardo wiele — ale we wytłumaczeniu pewności nie było żadnéj.

Dopiero za dni naszych, — kiedy systematyczniéj wzięto się do dzieła — i spuściwszy z uwagi jasność, barwę i kształt tych gwiazd, zaczęto więcéj studiować ich pojawy co do miejsca i czasu, kiedy zapowiedziany w roku zeszłym przez Amerykanina Newtona na noc 13go listopada deszcz ognisty, istotnie nastąpił i począwszy od Atlantyku aż do Konstantynopola, gdzie tylko sprzyjała pogoda — był istotnie widzianym, — zajęto się gwiazdami temi na serio — i udało się astronomom ruch, naturę i początek tych interesujących ciał, zgodnie ze wszystkiemi zasadami mechaniki niebieskiéj wyjaśnić tak, że już dzisiaj przynajmniéj co do rojów przelatujących w sierpniu i listopadzie, żadna nie zostaje wątpliwość.

Co większa — i czego się nikt przedtém nie spodziewał, badania te w ciągu ubiegłéj zimy dokonane — rzuciły ogromne światło na całą naszą dotychczasową naukę o kometach, wyjaśniły dostrzeżone przy tychże zjawiska — i uspokoiły do reszty często się powtarzające obawy o losy ziemi naszéj, jakiemi jéj — podług mniemania ludzi z porządkiem i prawami natury nieobeznanych — uderzenie komety zagrażać miało.

Postęp ten nowy zawdzięcza nauka nasza głównie dwom mężom: Józefowi *Schiaparelli*, dyrektorowi obserwatorium w Mediolanie i Urbanowi *Le Verrier*, którego nazwisko powszechnie jest znane.

Gwiazdy spadające, kule ogniste i kamienie z nieba spadające są to jedne i te same ciała, składają się z jednych i tych samych chemicznych pierwiastków, jakie mamy na ziemi.

Jak wyglądają gwiazdy spadające i ślady które po sobie przez krótszy lub dłuższy czas na niebie zostawiają, znamy wszyscy dobrze od dziecieństwa. Ale interesującą i do dalszego zrozumienia rzeczy potrzebną będzie wiadomość, jak sobie téż-to radzą astronomowie, aby zjawiska tak nagłe i przemijające zbadać i powiedzieć zkąd, którędy i dokąd lecą te gwiazdy?

Otóż do tego lunet ani kół żadnych nie potrzeba. Znajomość gwiazd stałych na niebie, oko zdrowe, dobra mapa nieba, dobry zegarek, ołówek i arkusz papieru — oto wszystko. w co się na taką wyprawę zaopatrzyć trzeba. Rozłożywszy przed sobą mapę tak, aby położeniu rzeczywistemu gwiazd na niebie odpowiadało położenie tychże gwiazd na mapie, czekamy na pojawienie się pierwszéj spadającéj, a skoro się tylko pojawi, uważamy od któréj do któréj gwiazdy stałéj przeleciała i w jakim czasie drogę tę przebyła. Na mapie zaznaczamy tę drogę strzałką narysowaną ołówkiem między odpowiedniemi gwiazdami i ostrze jéj zwracamy ku temu punktowi, w którym znikła. Strzałkę tę zaznaczamy liczbą porządkową 1, a na arkuszu obok téjże liczby piszemy godzinę i minutę, o któréj się zjawisko ukazało i jak długo trwało. Tak samo postępujemy z gwiazdą 2gą, 3cią, 4tą itd. I to stanowi całą obserwacyą, do któréj jeźli czas na to zezwala dopisujemy uwagi dotyczące jasności, barwy, śladu itp. gwiazdy widzianéj. Atoli są to już rzeczy dla astronoma zbyteczne.

Tak zrysowane mapy i spisane arkusze zestawione z kilku miejsc znaczną przestrzenią od siebie oddalonych, są nader pouczającemi i stanowią fundament całéj o gwiazdach spadających nauki.

Z nich to astronom matematyk czerpie wszystkie daty potrzebne do sprawdzenia tożsamości gwiazd dostrzeżonych przez obserwatorów milami od siebie oddalonych; — z nich — po sprawdzeniu tożsamości oblicza wysokość w jakiéj się te gwiazdy pojawiają nad powierzchnią ziemi; — z nich nareszcie wyznacza w sposób, jak zobaczymy — bardzo prosty, okolicę nieba, z któréj gwiazdy leciały, kierunek i chyżość ich biegu.

Np. gwiazda, którą dnia 11go sierpnia 1858 r. o godzinie 11téj wieczór równocześnie widziano w Kasselu, Dreznie i Pradze, pojawiła się w wysokości 15tu mil nad ziemią, a idąc skośnie, zgasła w wysokości 12tu mil jeograficznych nad powierzchnią téjże. — Druga w 41 minut późniéj w Kasselu i Pradze dostrzeżona, pojawiła się w wysokości 18tu, zgasła w wysokości 15tu mil nad ziemią.

Jeżeli sobie teraz przypomnimy, że wysokość atmosfery ziemskiéj, o ile takową ze zorzy porannéj i wieczornéj wyznaczyć można, niespełna 9 mil wynosi, — a podług najnowszych poszukiwań *Gyldena* co najwięcéj do niecałych 14tu mil sięgać może, — mieć będziemy zaraz pierwszy dowód, że gwiazdy spadające nie są to żadne ognie sztuczne, któreby sobie przyroda w powietrzni ziemskiéj wyprawiała, ale owszem, że to są jakieś ciała obce, które tylko koło ziemi przelatują — i w przelocie swym przeszywają atmosferę.

Z tych-to także spostrzeżeń obliczono, że ciała te lecą z chyżością 7½ mili na sekundę, a jeżeli się które z nich zbliży na 4½ mili ku ziemi, natenczas z hukiem ogromnym spada jako kamień lub bryła żelazna na ziemię — i staje się łupem chemików, fizyków i geologów.

Jakkolwiek chyżość co dopiero wymieniona 7½ mili na sekundę — wyprowadzona z dość niepewnych spostrzeżeń czasu, jakiego potrzebują gwiazdy spadające do przebieżenia swéj pozornéj na niebie drogi — jest liczebnie za wielką; — gdyż jak się późniéj dowiemy, istotnie tylko niespełna 6 mil wynosi, — to przecież już ztąd widać, że żaden wulkan czysto ziemski, czy księżycowy nie jest wstanie wybuchem swoim nadać wyrzuconéj masie podobnéj chyżości, że więc gwiazdy i kamienie spadające, nie są żadnym produktem wulkanicznym.

Nadto, jeżeli sobie przypomnimy, że ziemia nasza pędząc po drodze swéj naokoło słońca, bieży z chyżością tylko 4 mil na sekundę, to pojmiemy łatwo, że chyżość gwiazd spadających odpowiada całkiem wymogom ich pochodzenia kosmicznego.

Atoli jeszcze nie wszystko wyczytaliśmy z map i arkuszy naszych. Na mapach mamy jeszcze kierunki strzałek — w arkuszach zapiski wiele każdéj nocy, w każdéj godzinie gwiazd spadło.

Weźmy najprzód mapy i poprzedłużajmy nakreślone na nich linie w strony przeciwne biegowi gwiazd, — a z zadziwieniem dostrzeżemy, że się te wszystkie linije przez całą noc kreślone, z wyjątkiem niewielu, poprzecinają albo dokładnie w tymże samym punkcie, albo przynajmniéj w kilku punktach siebie bliskich — a tak przekonamy się prawie naocznie, że wszystkie niemal gwiazdy spadające, któreśmy przez całą noc widzieli, leciały z téj samej okolicy nieba, z téj saméj konstellacyi, mimo, że ta konstellacja z wieczora świeciła może na wschodzie, a nad ranem była bliską zachodu.

Nadto przypatrując się lepiéj mapie naszéj, dostrzegamy, że strzałki, któreśmy w nocy nakreślili, im więcéj są oddalone od tego wspólnego punktu przecięcia, tém są dłuższe, im bliżéj zaś niego przypadają, tém są krótsze.

Przypominamy sobie nareszcie, że w punkcie nieba odpowiadającym temu wspólnemu przecięciu się linij naszych na mapie — widzieliśmy w nocy kilka razy jakby rozpalającą się jakąś gwiazdę, która nie ruszywszy się z miejsca, po chwili znowu zgasła.

Wystawmy sobie, że stoimy na początku alei — prostéj jak strzelił — ale niezmiernie długiéj i zwolna w górę się wznoszącéj. Aleą tą z drugiego końca idą ku nam w różnych za sobą odstępach ludzie, — jedni środkiem, drudzy brzegami. — Pytanie, jak nam się to wszystko wydawać będzie?

Oto najprzód drugiego końca alei nie zobaczymy wcale, bo się jéj brzegi, lubo wszędzie od siebie równooddalone, w pewnéj odległości zejdą w punkt jeden —

a im bliżéj nas, tém bardziéj rozchodzić się zdają. — Patrząc znowu np. przez minutę na ludzi ku nam idących — choćby wszyscy równym szli krokiem — my wnosząc z pozoru, powiemy, że bliżsi nas uszli za minutę większy kawał drogi, niż owi co są daléj od nas, — a ten, co go widać tam, gdzie się aleja zamyka, to już chyba w miejscu nieruchomo stoi. (Ciąg d. n.)

Dante i jego poemat — cztery odczyty ***J. J. Kraszewskiego*** (sprawozdanie). — Odczyt pierwszy dnia 29. kwietnia. Od ukazania się poematu Dantego p. t.: „Komedya boża", trwa aż do dzisiaj przez ciąg wieków jednozgodne uznanie jego wartości i znaczenia. We Włoszech wykład Dantego stanowi osobne kursa uniwersyteckie — u nas zbyt mało jest prac w tym przedmiocie, a tłomaczenie mamy tylko jedno całe J. Korsaka, (a drugie J. Kraszewskiego w rękopiśmie, p. red). Obraz epoki i życia poety koniecznie są potrzebne dla zrozumienia poematu.

Podziw i zajęcie jakie obudza, pochodzi zarówno ze względów artystycznych, jako dzieło sztuki, jako i ztąd, że Dante przedstawia sobą całą epokę. Wiek X, XI, XII, przygotowywały epokę zwaną: „odrodzenia". Języki z łacińskiego powstałe i inne, objawiają znaki życia i dobijają się praw swoich. Z niemi rodzi się idea narodowości. Nastaje wielkie zamiłowanie nauki, szczególniéj teologicznych, uniwersytety się zapełniają, rozchodzi się sława i wpływ znakomitości, jak Ś. Tomasz z Akwinu, Duns Skott, Roger Bakon, którego trzy dzieła filozoficzne na naukach przyrodniczych oparte, coraz to większe zyskują uznanie.

Florencyja, ojczyzna Dantego przedstawia obraz taki sam, jak cała Italija wówczas — rozerwana między stronnictwa Gwelfów i Gibellinów, szarpana ciągłemi rozterkami, gwałtami, walkami, które uliczny bruk zakrwawiają.

W takim czasie i okolicznościach urodził się Dante, r. 1265. z familii patrycyjuszów. Wychowanie odebrał staranne — nauczycielem jego był Brunetto-Latini. Zaraz w młodych latach najważniejszém zdarzeniem, które oddziałało na całe jego życie i nadało ton jego poezyi, była miłość. Chłopiec jeszcze, zobaczył dziewczynkę Beatrix i pokochał ją. Była to miłość tak zwana platoniczna, idealna, która kobietę podnosi do uwielbienia, niczego nie pragnie, nie żąda i ubóstwianą czci jakoby patronkę. Dante kochał ją i unikał jéj. Życie jego szło czynnie, służył i wojskowo. Tymczasem Beatrix, jak się to Dantemu poprzednio wyśniło, umarła r. 1290, a jego ożeniono z Gemmą-Donati; małżeństwo, jak dziś się mówi, z konwenansu, które mu przyniosło niesmak i kwasy. W tym czasie przypada polityczna działalność Dante'go. Podług p. Krasz. nie należał on do żadnego stronnictwa. Chciał on odbudowania cesarstwa rzymskiego, dla ukrócenia nieładu i ambitnych zachcianek zdobywców, najeżdżających Italiję; przyznawał Cezarom posłannictwo stróżów pokoju i chciał monarchii dla nich uniwersalnéj, nie poddanéj nawet papieżom, których chciał ograniczyć do władzy czysto-duchownéj. Na poparcie zdania, że Dante do żadnego stronnictwa nie należał, przytacza p. Krasz. okoliczność, że kiedy dzierżył władzę, to ludzi burzliwych z wszelkich stronnictw z Florencyi wydalił — a następnie w poemacie swoim w piekle, zarówno Gwelfów i Gibellinów umieścił. Może to jednak tylko dowodzić, że w każdém stronnictwie wówczas, tak jak i dzisiaj znał i umiał przejrzeć ludzi złéj woli i tych napiętnował. Lecz nie można się zgodzić, wbrew opinii innych biografów, na orzeczenie, że sam do żadnego stronnictwa nie należał — znaczyłoby to bowiem tyle, że sam nie miał stałych zasad i przekonań. Ktokolwiek je ma, a jeżeli niezgodne z istniejącemi ogólnie, to wtedy sam sobą nowe stronnictwo tworzy.

W r. 1300 przypadł jubileusz i ściągał wielkie zbiegowisko ludów do Rzymu. Dante obrany Priorem Florencyi, miał być tam wysłany; było to wśród ciągłych rozterek i gwałtów i wtedy miał Dante wyrazić się z boleścią: Jeżeli pojadę, któż zostanie? jeżeli zostanę, któż pojedzie?.. Podczas jego pobytu w Rzymie wzięły w istocie rzeczy obrót wcale przeciwny zamiarom jego. Zwyciężyli czarni, przyjęli do Florencyi Walezyjusza — Dantego skazano na wygnanie. Był to dla niego straszny cios — snać musiało być, aby on tak, jak prawie każda wybrana, wyższa osobistość boleścią się napawał, uszlachetniał i podnosił. Następuje jego tułaczka, w któréj przypada kilka dzieł jego, wycieczki do Paryża i Oxfordu, gdzie świeża tradycyja i wpływ dzieł Bakona musiały na niego oddziałać i ztąd téż datuje się ogromna erudycyja jego, w poemacie widoczna — (na ten wpływ zwrócił p. Kraszewski pierwszy uwagę) — jego działalność polityczna, listy do Florentczyków, kardynałów, Henryka VII, pobyt na dworze Scaligera w Weronie — ciągłe tułactwo. Kiedy go zakonnik rozglądającego się w kościółku w Luigiana zapytał, czegoby szukał? odrzekł: pokoju! Do ojczyzny nie mógł wrócić, gdyż ofiarowano mu amnestyją na warunkach hańbiących, żadnych przyjąć nie mógł, bo nie był winny. Umarł w Rawennie r. 1321, — wyprawiono mu wspaniały pogrzeb — już w chwili zgonu otaczało go powszechne uznanie — z poematu tylko dwie części znane i rozpowszechnione były za życia.

— Odczyt 2. 1go. maja. Komuż nieznana jest szlachetna postać poety w ubiorze mniszym, odtwarzana ciągle przez najcelniejszych malarzy. Jenialność, surowość i praca, oto trzy główne rysy jego charakteru. Wielka, głęboka nauka, wiedza uniwersalna. „Komedja boża" dzieli się na trzy części: piekło, czyściec, raj. Dwie znane były za życia — trzecią chciał syn jego wykończyć, ale ciężko mu szło, aż według podania, ojciec w widzeniu senném wskazał mu miejce, gdzie pod staremi pergaminami schowaną była.

Poemat zbudowany jest z ścisłą regularnością, kunsztowny rozkład i wykończenie, wspaniałość i rozmaitość obrazów. Bohaterem jest człowiek i ludzkość — treścią życie przyszłe, duchowe. Temat zaczerpnięty jest z podań ludowych. Ciągła, nieustająca twórczość ludu, dostarczała zawsze wątku największym poetom. Krążyły wówczas różne u różnych ludów legendy, o zstąpieniu do piekieł.

Do piekła prowadzi poetę Virgiliusz, poeta pogański, który jednak przeczuwał nową epokę świata. Z przerażającą prawdą kreśli poeta obrazy piekła, jego budowę, straszny napis na bramie: „wy, którzy tu wchodzicie, rzućcie nadzieje" — kręgi piekieł — przestrzeń, gdzie dusze ludzi, co ani do cnót, ani do zbrodni siły nie mieli — w otchłani bohaterowie i mędrcy pogańscy — Dusze rozpustnych — *Francesca di Rimini*, jeden z najpiękniejszych i najwięcéj znanych ustępów — Obżarci i opilcy — spotkanie z Florentczykami — Skąpcy i rozrzutnicy razem — Gniewliwi i leniwcy — Krąg gwałtowników — zstąpienie w głębiny, kary szalbierzy, oszustów, fałszerzy. Głąb piekieł: Gwałtownicy, buntownicy duchem — Zamarzłe jezioro, ponad lód wystające sowy — Ugolino — Szatan Lucyper z trzema pyskami — Przejście z piekła po ciele szatana na drugą półkulę.

Obrazy wszystkie straszliwe, groźne, plastyczne — szatany z fizyognomiją średniowieczną, krajobrazy z natury brane. Porywający ustęp do Florencyi. Giotto, Michał Anioł, Cornelius i inni odtwarzali w obrazach to Dantejskie piekło.

(Dok. nastąpi.)

Nakladca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Kraków. — W drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1867.